

W czasie mojej „naukowej” wizyty w Bieszczadach, kiedy to zbierałam materiały do pracy magisterskiej, udało mi się umówić z Marią Harasymowicz na rozmowę. Tak się składało, że czas mojego pobytu tam pokrywał się z obchodami 7 rocznicy śmierci Jerzego Harasymowicza (któremu rzeczona praca była poświęcona) zorganizowanymi w ośrodku harcerskim „Berdo” w Myczkowcach. Pani Maria była, jako wdowa po poecie, oczywiście zaproszona i, kiedy udało mi się z nią skontaktować, zaprosiła również mnie, abyśmy mogły spokojnie porozmawiać o jej mężu, jego poezji oraz mojej pracy. Byłam tym wniebowzięta, bo jak zaczynałam pisać moje „dzieło”, nie śniło mi się nawet, że uda mi się porozmawiać z osobą najbliższą Jerzemu Harasymowiczowi, a już tym bardziej, że będę miała możliwość zrobienia tego bezpośrednio, twarzą w twarz!

Spotkanie było zaplanowane na 21.08, w ośrodku harcerskim "Berdo" mieszczącym się w Myczkowcach. Dzień wcześniej domówiłam z Panią Marią wszystkie szczegóły - pamiętam to jak dziś, jak siedziałam na schodach cerkwi w Michniowcu i rozmawiałam z nią przez telefon. Był cudowny, ciepły (aż może trochę nazbyt ciepły, bo spaliłam się na czerwono), sierpniowy dzień, a ja już byłam nieco „schodzona”, ponieważ „stopa” do Bystrego złapałam dopiero z kilometr za Lipiem, czyli pod sam koniec drogi, co oznaczało, że od Czarnej jakieś 4 km szłam piechotą. Ludzie, którzy się zatrzymali, wysadzili mnie na krzyżówce z drogą na Bystre i Michniowiec, więc do samego Michniowca „zrobiłam” jeszcze prawie 2 km (do Bystrego i z powrotem = 1 km, a potem jeszcze do Michniowca też około 1 km), ale na tych schodach pod cerkwią zrobiło mi się tak cudownie błogo i leniwie, że na moment nawet zapomniałam, iż za chwilę będę musiała przejść w drugą stronę kolejne 6 kilometrów. Jak mi się to przypomniało, postanowiłam nieco odwlec mój powrót i stwierdziłam, że zadzwonię sobie teraz do Pani Marii, bo i tak umawiałam się z nią na telefon dzień przed uroczystością. Ustaliliśmy więc, że dojadę autobusem do Soliny, a stamtąd dotrę piechotą do Myczkowców. Pani Maria wytłumaczyła mi drogę i zaoferowała się, że w razie problemów z trafieniem będzie „wisieć” ze mną na telefonie i mnie kierować. Z mapy wynikało, że dojście do tych Myczkowców nie będzie zbyt kłopotliwe - praktycznie cała trasa prowadziła, wydawało mi się, sporą dróżką - doszłam więc do wniosku, że jak już coś jest oznaczone na mapie, to nie może to być byle ścieżyna, ale już jakiś porządny szlak. Autobusem dojechać tam nie można było, bo ośrodek znajdował się po drugiej stronie Jeziora Myczkowskiego, ale nie obawiałam się tej drogi. Wieczorem jeszcze zrobiłam sobie pedicure dla celów estetycznych. Ponieważ głupio mi było pokazać się na tych obchodach w wersji turysty – poczochna, a nie miałam ze sobą nic do zrobienia choćby prowizorycznego makijażu, paznokci u rąk też nie miałam, posiadałam za to czerwony lakier, postanowiłam więc zadbać o wygląd choćby tej najbardziej dolnej części ciała. Podmalowałam sobie zatem paznokcie u stóp na piękny, czerwony kolor, rano wystroiłam się w sandały, spódniczkę i czerwone korale i ze swoją wielką torbą ruszyłam na przystanek PKS.

Do Soliny dojechałam szybko i bezproblemowo – o dziwo, ani żadnego opóźnienia w rozkładzie jazdy, ani nieplanowanych przystanków na trasie – ja nie wiem, ten kierowca jakiś nowy chyba był, bo podróż pozbawiona była większości cech charakterystycznych dla przemieszczania się PKS - em po Bieszczadach. Wysiadłam więc w Solinie, wywnioskowałam z mapy, w którą stronę powinnam iść i ruszyłam. Wygodna stokówka, którą podążałam, skończyła się jednak bardzo szybko i zastąpiła ją wąską, błotnistą (w nocy padało...) ścieżką biegnącą między zaroślami. „No dobra, jakoś przez to przebrnę”, po-

myślałam sobie, chociaż ciężka torba zaczęła mnie nieco wbijać w błoto. „No dobra, nie wiem, jak ja przez to przebrnę”, przyznałam jednak po chwili, gdy wyszłam z krzaków i moim oczom ukazała się dalsza część dróżki prowadzącej przez polanę i ginącej w gęstym lesie...Starłam się nie myśleć o niedźwiedziach, tylko iść przed siebie, nie było to jednak łatwe, bo zanim weszłam w ten las, odebrałam dwa telefony – najpierw od mojej mamy, która przestrzegała mnie, żebym uważała na żmije, bo słyszała rano w radiu, że w Bieszczadach jest właśnie wysyp żmij, potem od mojej siostry, która zadzwoniła po to, aby mnie poinformować, że usłyszała właśnie w telewizji, że gdzieś w Bieszczadach poprzedniego dnia niedźwiedź zabił żubra...No naprawdę, zrobiło mi się rażniej po tych wiadomościach. Z duszą na ramieniu zagłębiłam się więc w bukowy las i szłam przed siebie nadal ze wszystkich sił starając się nie myśleć o wszelkiej niebezpiecznej zwierzynie, która mogła cziąć się po okolicznych chaszcach.

Po niedługim czasie zaistniał kolejny problem w postaci rozstaju dróg...Z mapy nie wynikał żaden, najmniejszy nawet rozstaj, ten więc, który właśnie pojawił się na mojej drodze, podniósł mi poziom stresu chyba do maksimum. Jak na złość, od początku trasy nie spotkałam ani jednego człowieka mimo, że w błocie było pełno śladów butów. Nie mogąc liczyć na pomoc skądkolwiek indziej, wyciągnęłam telefon i wybrałam numer Pani Marii. Okazało się, że zasięg, jaki taki, ale jest, więc po chwili otrzymałam radę, aby iść tak, żebym słońce miała za plecami i skrócić w prawo gdzieś przy pozostałościach jakichś wałów z II wojny światowej, czy czymś takim...Tak poinstruowana ruszyłam dalej, chociaż wcale nie byłam pewna, czy poznam te wały, czy pomyłę je z naturalnym ukształtowaniem terenu i przeoczę. Szczęściem, po kilkunastu minutach spotkałam turystę spędzającego urlop w pobliskich Myczkowcach. Kojarzył „wały”, zaoferował się więc, że poprowadzi mnie pod sam ośrodek. Sądzę, iż na jego propozycję miał wpływ głównie oplakany stan psychiczny malujący się na moim obliczu, a także niemniej oplakany stan moich stóp. Jak wspominałam wcześniej, wystroiliłam się tego dnia w sandałki...Bynajmniej nie sportowe tylko takie miejskie, z gładką podeszwą (nastawiłam się na spacer asfaltową, a, w najgorszym wypadku, szutrową drogą...), dzięki czemu w czasie mojej morderczej wyprawy „zaliczyłam” tyle poślizgów i zatonień stóp aż po kostki, że zdążyła się już na nich zebrać pokaźna warstwa błota, prawie w całości przykrywając czerwony lakier na paznokciach.

Rozstaliśmy się z turystą przy wejściu do ośrodka, on sobie poszedł, ja weszłam na teren „Berda” i pierwsze, co zrobiłam, to zdjęłam buty, a następnie...straszliwie się rozplakałam. Opuszczający mnie stres znalazł ujście w niepoohamowanym i nieutulonym szlochu i w takim stanie znalazła mnie opiekunka harcerzy, a zarazem jedna z organizatorek uroczystości. Zostałam zaprowadzona do łazienki, żebym mogła doprowadzić nogi do porządku, a kobieta, która znalazła mnie taką zapłakaną, stwierdziła, że jak już tyle dzisiaj przesłam, to w takim razie nie można mnie tak tu zostawić bez obiadu...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

aga63, dodano 15.07.2013 10:28

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.